

KATARZYNA WIŚNIEWSKA

Behind
THE
Lies

DYLOGIA BEHIND #2



KATARZYNA WIŚNIEWSKA

Behind
THE
Lies

DYLOGIA BEHIND #2

Copyright © for the text by Katarzyna Wiśniewska
Copyright © for this edition by Wydawnictwo NieZwykłe, Oświęcim 2024
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Anna Łakuta
Korekta: Alicja Szalska-Radomska, Martyna Góralewska, Daria Raczkowiak
Skład i łamanie: Paulina Romanek
Oprawa graficzna książki: Paulina Klimek

Druk i oprawa: Abedik S.A.

ISBN 978-83-8362-734-2 · Wydawnictwo NieZwykłe · Oświęcim 2024
Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 www.wydawnictwniezwykle.pl
✉ niezwykle@wydawnictwniezwykle.pl
📘 Wydawnictwo NieZwykłe
📷 [wydawnictwniezwykle](https://www.instagram.com/wydawnictwniezwykle)
✂ [Wyd_NieZwykłe](https://www.youtube.com/channel/UC...)
🎵 [wydawnictwniezwykle](https://www.spotify.com/artist/wydawnictwniezwykle)

Ostrzeżenie

Drogi Czytelniku,

sięgając po tę książkę, miej na uwadze, że zawiera ona treści nieodpowiednie dla osób poniżej osiemnastego roku życia. Przedstawione są tu drastyczne opisy przemocy. Niektóre postacie zmagają się z zaburzeniami psychicznymi. Nie jest to pozycja dla osób wrażliwych. W żadnym wypadku nie popieram decyzji podejmowanych przez głównych bohaterów. Pamiętaj, proszę, że Twoje zdrowie psychiczne jest priorytetem.

Dla tych, którym kłamstwo dało więcej radości niż prawda.



Prolog

Duch

Opowieści babci o duchach zawsze były tymi przerażającymi historyjkami, które pamiętam do dziś, jednak z czasem przestały być straszne. Nie mroziły krwi w żyłach i nie powodowały okropnego krzyku.

Przestały wywoływać jakiegokolwiek emocje, bo sam byłem jak duch.

Właśnie dlatego nikt nie czuł mojego chłodu i przyćmionej aury, gdy stałem pod oknem w ciemności. Byłem zbyt szybki, by ktoś to wychwycił. Aż dziwne, że w święto tak huczne jak Halloween, nikt nie potrafił mnie dostrzec. Mijałem tak wiele dzieci przebranych w te małe

przeróżające stroje, dziewczyn, które ten dzień traktowały jak okazję do ubrania się w rzeczy nadające się wyłącznie do klubu ze striptizem, i chłopaków, którzy szczycili się swoją męskością.

Żałosne.

Jeden dom stał się moim dzisiejszym celem. Nie marnowałem czasu na nic niewarte wyzwania. Przestraszenie przypadkowych ludzi byłoby za proste. Nie w moim stylu. Wpatrywałem się w okna domu tej dziewczyny, przez które doskonale widziałem dwa pomieszczenia. W obu paliło się światło, lecz pierwszy był pusty. W drugim zaś znajdowała się urocza parka zakochanych, a ten chłoptaş, nie mężczyzna, dotykał swoimi brudnymi łapskami brunetki, gdy ta sprzątała po dość szybko zakończonej imprezie.

Co się stało, że zakończyła się tak szybko?

Dziewczyna z grymasem na twarzy myła naczynia, a ten mizerny typ nie potrafił się od niej odkleić. Mamrotał jej coś do ucha i choć go nie słyszałem, wiedziałem, że musiał być wstawiony. Trzymał się równo na nogach, ale z pewnością bełkotał jakieś obrzydliwe rzeczy. Ona jednak nic z tym nie robiła.

Nie podobało mi się to.

Przysunąłem się bliżej, nie spuszczać wzroku z brunetki, i wtedy dostrzegłem ten błysk w jej prawym oku. Delikatnie zauważalny, ale dla mnie wystarczający. Spojrzała na krzaki, które poruszyłem tuż obok siebie, lecz wciąż mnie nie widziała. Przestraszyła się nieznacznym ruchem chwastów w obliczu braku jakiegokolwiek podmuchu wiatru. Na jej twarzy malowała się panika pomieszana ze strachem, co cholernie mi się podobało. Zaprzestała innych czynności i tylko wpatrywała się w przestrzeń za oknem.

Czy myślisz, że to dobre zachowanie?

Jej tęczyówki zalsniły pewnego rodzaju ożywieniem. Spojrzała nerwowo na chłopaka, który teraz opierał się o wyspę kuchenną. Powiedziała mu coś, co wywołało jego śmiech. Zlekceważył ją.

To też mi się nie podobało.

Przez chwilę kręcił głową w sprzeczynie, ale w końcu brunetka zdołała go przekonać, by sprawdził, czy jakiś duch nie czyha na zewnątrz.

– Nikogo tutaj nie ma, możemy już wrócić do sypialni?

Kłamstwo.

– Naprawdę coś widziałam! – wykrzyczała, mocniej owijając ciało długim swetrem.

Prawda.

– Daj spokój, dzieciaki pewnie robią sobie żarty.

– Przysięgam ci, do cholery, że coś tam widziałam!

– A ja przysięgam ci, że to złośliwy dzieciak, który nie dostał cukierków. Chodź już do łóżka.

– Nie mam nastroju na zabawy.

Mądra dziewczynka.

Czujnie obserwowałem, jak oboje ponownie wchodzi do środka.

Wyglądała cholernie uroczo, gdy się bała, ale nie zdawała sobie sprawy, że nie był to ostatni raz. Zadbam o to, by była przerażona, a ten idiota już nigdy więcej nie zlekceważył jej słów.

Strzeż się, brunetko, wrócę tu bowiem niejedną raz.



Rozdział 1

Asher

Piątek okazał się idealnym dniem na opuszczenie tego miejsca po czterech latach. Za dobre sprawowanie udało mi się uzyskać wcześniejsze zwolnienie, bez wiedzy kogokolwiek. Nie byłem jednym z tych więźniów, którzy nie wiedzieli, co powinni zrobić po wyjściu zza krat. Nie martwiłem się tym, że pod żelazną bramą nie czekał żaden samochód, który miał zabrać mnie do domu.

To się nie liczyło.

Na piechotę wróciłem do centrum Lexington. Wiedziałem, że ludzie nie będą wytykać mnie palcami, bo mój wygląd przez te lata znacząco się zmienił. Nie byłem już mężczyzną z bujnymi, ciemnymi włosami, które zawsze

opadały mi na czoło. Teraz wyrastały z głowy na zaledwie milimetr. Twarz również uległa zmianie.

Nie trzeba było być wielkim uczonym, żeby wiedzieć, jakim miejscem było więzienie. To przesiąknięte agresją i ciągłymi konfliktami pudło, gdzie kary odsiadywali zarówno mordercy, jak i ci, którzy ukradli jedynie bochenek chleba. Powiedzenie, że to miejsce zmieniało człowieka, było prawdą, lecz w moim mniemaniu nie wychodziło się stamtąd jako zupełnie ktoś inny. Rozgrywające się tam wydarzenia z pewnością mogły siadać na psychikę i wpływały na wygląd – stąd właśnie wzięła się blizna przecinająca moje prawe oko i ta tuż przy uchu – ale to od samego osadzonego zależało, czy pozwoli się złamać.

A mnie nic nie złamie.

Chciałem zostać w mieście niezauważony. Nie zamierzałem wracać na stare śmieci, gdzie z pewnością wciąż walały się taśmy policyjne sprzed kilku lat. Nie dlatego, że bolała mnie przeszłość. Nic z tych rzeczy. Przez te cztery lata dokładnie obmyśliłem plan, który od razu po wyjściu zamierzałem wcielić w życie.

Gdy pewnego razu na widzeniu pojawił się zmartwiony i załamany Mike, poprosiłem go o kupno dworu Darracotów. To miejsce, które każdy mieszkaniec Lexington omijał szerokim łukiem. Głowa rodziny – Ivan Darracot był jakimś przestępcą, jak mniemam, mało groźnym, bo nie słyszałem o nim za wiele, jednak to morderstwo całej jego rodziny wstrząsnęło miastem. Dziesięć lat temu mówiono, że dokonał tego seryjny morderca, ale sprawa szybko ucichła i nikt nie chciał do niej wracać. Sam dwór położony był na wzgórzu, które otaczał bujny las, więc nie musiałem się martwić, że za jakiś czas powstaną tam nowe zabudowania

i wprowadzą się sąsiedzi. Dlatego właśnie było to idealne miejsce. Nikt nie będzie wtykał nosa w nie swoje sprawy.

Przyjemnie było móc nawdychać się świeżego powietrza poza murami i zobaczyć innych ludzi, a nie tylko te obrzydliwe gęby, które widywałem przez ostatnie lata. Nie poczułem się wolny, choć z pewnością powinienem. Stąpanie po chodniku w normalnych ubraniach i bez kajdanek na nadgarstkach nie dawało mi tak upragnionej przez większość swobody. Nie wiem, czy czułem cokolwiek. Oprócz chęci zemsty nie doznawałem niczego innego. Najchętniej od razu poszedłbym do tej baletnicy i zaskoczył ją swoją obecnością, ale to byłoby dziecinne.

Nie byłem wkurwionym chłopcem, który chciał pokazać swoją złość na nią. Byłem mężczyzną, który czuł się zawiedziony i zniszczony. Żeby zemsta stała się satysfakcjonująca, musiała być dotkliwa i ciągnąca się w nieskończoność.

Ta zabawa dopiero się zaczyna.

Do dworu szedłem skrótem przez las. Widząc wydeptaną ścieżkę, wywnioskowałem, że poprzedni właściciele też musieli wiedzieć o tej drodze. Budynek był ogromny, dwupiętrowy. Mocne filary, które widniały tuż przy starych drzwiach wejściowych, potęgowały wyjątkowość tego miejsca. Mury owijał stary, już zeschnięty bluszcz. Trawa sięgała do kolan, a wszelkie kwiaty w ogródku już dawno zakończyły swój żywot. Na górze filarów widniały dwa anioły, trzymające szarfę w kolorze butelkowej zieleni, na której widniał wyblakły inicjał nazwiska wcześniej mieszkającej tu rodziny. Litera „D”, niegdyś będąca w kolorze złota, teraz miała na sobie liczne pęknięcia i była zawilgotniała przez to, że od lat nikt nie dbał o to miejsce.

Jakkolwiek głupio by to nie brzmiało, odczuwałem mroczny klimat posiadłości, co tylko bardziej przekonało mnie, że podjąłem dobrą decyzję o tym zakupie.

Na werandzie wciąż stał bujany fotel, który malował się w tym samym odcieniu zieleni co szarfa. Tuż obok niego stał wazon bez kwiatów, ale z pozostawionymi w środku kluczami. Stary, duży miedziany klucz również miał wygrawerowany inicjał rodziny. Włożyłem go w zalepiony pajęczyną zamek i przekręciłem, po czym wszedłem do środka. Moje nozdrza napotkały nieprzyjemny zapach stęchlizny. Na parterze znajdował się ogromny salon, a kanapy zostały obite materiałem w kolorze ciemnej zieleni. Wszystko otulone było grubą warstwą kurzu. Na wyspie kuchennej wciąż stał kieliszek napełniony czerwonym winem, ale nawet ja nie miałem śmiałości, by tego spróbować. Pościerane schody, pokryte srebrem, prowadziły do sypialni usytuowanych na górze.

Zastanawiałem się jednak, co kryło się na drugim piętrze. Zostawiłem torbę z rzeczami przy drzwiach jednej z wielu sypialni i podążyłem do końca schodów, które wprowadziły mnie do dziwnego miejsca. Było tu pusto. Żadnych ozdób i kwiatów, tylko rozciągająca się na ścianie szarfa – taka sama jak ta na zewnątrz. Na przeciwległej ścianie znajdowały się drzwi, więc bez zawahania podszedłem do nich i je otworzyłem. Wtargnąłem do pomieszczenia z wielkimi oknami wychodzącymi na tyły domu. Szyby były mocno zasmolone dymem papierosowym, który wciąż był tu wyczuwalny. Wszedłem głębiej i przesunąłem wzrokiem po półkach z książkami i długich biurkach, na których stało kilka komputerów. Każdy z nich był zniszczony. Wyglądało to tak, jakby ktoś po kolei wbijał pięść w monitory. Całe to pomieszczenie było po prostu splądrowane.

To nie mógł być przypadek.

Kiedy już wystarczająco się napatrzyłem, opuściłem to miejsce z myślą, że jeszcze tu wrócę, by zagłębić się bardziej w historię Darracotów. Zszedłem na dół, gdy żołądek dał mi znać o głodzie. Lodówka świeciła pustkami, czego można było się spodziewać. Nawet jeśli jakimś cudem cokolwiek leżałoby na półce tej obrzydliwie brudnej i śmierdzącej lodówki, w życiu bym tego nie tknął, za to Caleb zapewne nie miałby z tym problemu. Cała kuchnia była urządzona w czerni, choć wyróżniały się gdzieś tam elementy srebra. Musiałem przyznać, że cokolwiek projektował ten dom, naprawdę miał gust. Tuż przy lodówce zauważyłem drzwi, które prawdopodobnie prowadziły do spiżarni. Otworzyłem je i odruchowo postawiłem krok, przez co o mało się nie przewróciłem, bo betonowe schodki, na które się natknąłem, były bardzo wąskie. Spojrzałem w głąb pomieszczenia i już wiedziałem, że to nie była spiżarnia. W środku stały beczki z winem, a na ścianach powieszono specjalne półki, które trzymały mnóstwo butelek tego alkoholu.

– Słodki Jezu – wymamrotałem do siebie, oglądając zakurzone szkła. – To dlatego tak lubili tę butelkową zieleni.

Nie wiedziałem, ile litrów wina znajdowało się w tym pomieszczeniu, ale słowo „dużo” wciąż nie było wystarczające. Wziąłem do ręki pierwszą lepszą butelkę – jak się okazało, wytrawnego wina, które pochodziło z Bułgarii – po czym wróciłem do salonu i zasiadłem na kanapie.

Na ścianie, tuż nad kominkiem, wisiał sporych rozmiarów telewizor i jak wszystko w tym miejscu był mocno zakurzony. Wzrokiem szukałem pilota, chcąc sprawdzić, czy nadal działał, ale przez dłuższą chwilę nie potrafiłem go zlokalizować.

– Kto normalny kładzie pilota na samej górze zaszranego kominka? – burknąłem pod nosem, gdy w końcu go znalazłem.

Poszedłem po niego i od razu włączyłem telewizor. Działał, ale był tak brudny, że musiałem najpierw przecześć ekran rękawem bluzy, by cokolwiek na nim zobaczyć.

Przeskakiwałem po kanałach, popijając obrzydliwie gorzką ciecz z butelki. Jedna rzecz nie zmieniła się od czterech lat – wciąż nie czułem potrzeby oglądania czegokolwiek, co pokazywały media. Nie było tu niczego ciekawego. Zatrzymałem się jednak na lokalnych wiadomościach z Lexington. Prezenterka właśnie mówiła o różnych wydarzeniach, które miały się odbywać w tym tygodniu. Wyścig jazdy konnej, odsłonięcie pomnika kogoś tam i...

– Co, do cholery?! – wykrzyczałem sam do siebie i z impetem odstawiłem butelkę na pobliski stolik.

Nie mogłem uwierzyć własnym oczom, które teraz paliły mnie od nadmiaru złości.

„Dzisiaj mogą wybrać się państwo również do opery znajdującej się w samym centrum naszego miasta, by obejrzeć poruszający spektakl naszych balerin. Przedstawienie *Dziadek do orzechów* mieścić będzie w sobie dwa akty...”.

Wyłączyłem telewizor, zanim prezenterka zdążyła skończyć wypowiedź. Wściekłość rozlała się po żyłach. To nie przedstawienie wywołało we mnie taką furję, lecz widok jednej z tańczących dziewczyn. Przychodziło jej to z ogromną łatwością, tak jakby miała być najlepsza z nich wszystkich. Tak jakby była najbardziej niewinną osobą na tym świecie. Tak jakby nigdy w życiu nie wsadziła mnie do pierdła.

Ivy Flores.

Zakłamaną dziewczyną, która wciąż udawała, że lubiła te baletki i tiulowe sukienki. Która wciąż udawała kogoś, kim nie była. Dziewczyna, która była już dorosłą kobietą. Miała dwadzieścia jeden lat, jej ciało wciąż wyglądało na tak samo wychudzone jak kiedyś, a na twarzy malował się ten sam sztuczny uśmiech, który za każdym razem przyklejała do twarzy. Nieznacznie się zmieniła, ale teraz stała się sławna. Może właśnie tego chciała i dlatego podjęła taką, a nie inną decyzję cztery lata temu? Może właśnie do tego mnie wykorzystała?

Nie to jednak zirytowało mnie najbardziej. Teraz każdy mógł na nią patrzeć. Mogli ją podziwiać jak lalkę z porcelany, która lśniła w blasku reflektorów, a przecież jedyną osobą, która powinna ją oglądać, byłam ja. Ja, nikt inny.

Bo – czy tego chciała, czy nie – była moja.

To na mnie powinna patrzeć.

To dla mnie powinna tańczyć, gdy tylko ją o to poproszę.

Wybiegłem sfrustrowany z domu, kierując się w stronę lasu. Na zewnątrz panował mrok i ziąb, ale to w niczym mi nie przeszkadzało. Doskonale wiedziałem, gdzie znajdowała się opera. Nie mogłem jednak ryzykować i wejść do środka. Wciąż istniała możliwość, że ktoś mógł mnie rozpoznać.

Szedłem tak szybko, że w ciągu dziesięciu minut znalazłem się pod operą. Stała w samym centrum, ale obok nie znajdowały się inne budynki, by przypadkiem nie rozproszyć tego miejsca i nie zniszczyć reputacji jakimiś klubami czy dennymi restauracjami.

Chowając się w jednej z pobliskich ślepych uliczek, miałem idealny widok na ludzi pospiesznie wchodzących do budynku. Spektakl musiał się już rozpocząć. W tym

momencie miałem związane ręce. Nie mogłem zrobić kompletnie nic.

Ale czym było powitanie bez prezentu?

Wróciłem do lasu, wiedząc, że miałem dużo czasu w zana-dru. Wcześniej widziałem tu sporo zwierząt. Nie było szans, że choćby jeden z młodszych ptaków nie walnął o drzewo lub jakaś wiewiórka nie straciła życia w walce o pożywienie. Byłem pewien, że taki prezent spodoba się Ivy. Unikatowy, z pewnością takiego jeszcze nie dostała.

Znalazłem jednego małego kruka z prawie złamanym skrzydłem. Szybko pobiegłem do domu, znalazłem pudełko, wrzuciłem ptaka do środka i podpisałem wieczko. Gdy prezent był gotowy, wróciłem pod operę. Byłem cholernie zły. Cholernie wściekły. Chciałem przelać wszystkie negatywne emocje na dziewczynę, chciałem, żeby się bała.

Czas płynął niemiłosiernie wolno i już myślałem, że to całe przedstawienie czy spektakl – zwał jak zwał – już nigdy się nie skończy, ale na szczęście ludzie powoli zaczęli wychodzić z budynku. Przeszedłem na tyły opery i czekałem. Po trzydziestu minutach tancerki zaczęły wychodzić na zewnątrz, a niektóre nawet zerkały na pudełko, które pozostawiłem przy drzwiach. W końcu dostrzegłem, jak zza nich wyłoniła się ona...

Ivy.

Włosy sięgały jej do łopatek, uśmiech nie schodził z twarzy, a dołeczki w policzkach jak zawsze doprowadzały mnie do szału. Miała na sobie białą, krótką bluzkę i tego samego koloru spodnie. Wyglądała na zdezorientowaną, gdy jedna z koleżanek, która już się oddalała, zwróciła jej uwagę na czekające na nią pudełko. Ivy założyła włosy za ucho, rozglądając się dookoła, czy przypadkiem nie jest

przez nikogo obserwowana. Po reakcji dziewczyny śmiałem stwierdzić, iż miała pewność, że została już sama.

Cóż, nie będę wyprowadzał jej z błędu.

Przykłęknęła nad kartonem, po czym szybko od niego odskoczyła, gdy tylko zobaczyła zawartość. Usłyszałem cichy krzyk, który wywołał dreszcze na mojej skórze. Kąciki ust uniosły mi się w triumfalnym uśmiechu. Dziewczyna wyrzuciła pudełko do pobliskiego kosza i pognęła do czarnego SUV-a. Nie widziałem kierowcy przez przyciemnione szyby, ale wiedziałem doskonale, kto nim był.

Jeszcze z tobą nie skończyłem, baletnico.